

Moje życie na wygnaniu

Sześć najtragiczniejszych lat swojego życia spędziłam wygnana z rodzinnych stron na dalekiej, nieludzkiej ziemi - na Uralu i Ukrainie.

To, co chcę opowiedzieć, zabrzmie może jak koszmarny sen, ale to było nasze życie przez te sześć długich, tragicznych lat.

Gdy mój ukochany kraj zmagał się z niemieckim okupantem, my z rozkazu innego polskiego wroga konaliśmy z głodu i zimna na Syberii.

Wszystko zaczęło się jeszcze przed świętem 10 lutego 1940 roku. Do naszego domu we wsi Nechrybka koło Przemyśla, gdzie mieszkaliśmy od dwudziestu już lat, wtargnęli dwaj mężczyźni - Ukraińiec i Sowiec żądając oddania broni, którą rzekomo przechowywał mój mąż. Grozili, że go rozstrzelają na oczach rodziny. Podczas rewizji nic nie znaleźli, przestali więc straszyć męża, ale natychmiast oświadczyli nam, że z rozkazu Stalina mamy w ciągu pół godziny opuścić nasz dom zabierając tylko trochę niezbędnych rzeczy. Tyle ile zmieści się na sanie. Te stały już przygotowane przed domem. Opuścić dom w ciągu pół godziny... Opuścić dom... zostawić wszystko...

Moja czteroletnia córeczka Jasia strasznie płakała. Szlochała także moja matka. A ja stałam jak skamieniała - nie mogąc zrozumieć, nie mogąc uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Byłam wtedy w szóstym miesiącu ciąży, miałam dopiero 23 lata, kilkuletnią córeczkę i bardzo dobrego, zdolnego i pracowitego męża. Już w pierwszym roku naszego małżeństwa zbudował koło domu wiatrak, dzięki czemu mieliśmy własną energię, mogliśmy sami ciąć drzewo, młócić zboże, ciągnąć wodę. Byliśmy samowystarczalni. Później na Syberii też bardzo wiele zawdzięczaliśmy jego "złotym rękom". Jak wiele, opowiem później.

Los = przeznaczenie?

Moja matka i ojciec, którego tego strasznego dnia z nami nie było, chociaż byli małżeństwem przez pięćdziesiąt lat, tylko kilka lat byli naprawdę razem. Tak chciał los. Poznali się w Ameryce, gdzie wyjechali z biednej, porozdzieranej Polski, za chlebem. Oboje pochodzili spod Przemyśla. Tam na emigracji przyszła na świat moja starsza siostra. Gdy miała zaledwie dwa lata, matka razem z nią i ze mną jako oseskiem w brzuchu (nie przyznała się ojcu, że jest w ciąży) przyjechała do Polski, do rodzinnego domu w Dobiecku, w przemyskim, do ciężko chorej matki. Spieszyła się, żeby zobaczyć ją jeszcze żywą, a nie żegnać z daleka tak jak wcześniej pożegnała ojca. Dlatego też ja urodziłam się w Polsce i zaraz potem wybuchła pierwsza wojna światowa.

Rozdzieliła ona rodziców na wiele lat i głęboko zaważyła na naszym życiu. Ojciec przez cały ten czas pozostawał w Ameryce i zarobione w fabryce pieniądze przysyłał nam do Polski. W latach dwudziestych, gdy rozpoczęła się parcelacja majątków, matka kupiła 10 hektarów ziemi w Nechrybce, zbudowała tam dom i stworzyła gospodarstwo. Odtąd tam już mieszkaliśmy. Stamtąd też w 1928 roku, w roku wielkiej powodzi, w wieku szesnastu lat wyjechała do Ameryki moja jedyna siostra Marysia. Wyjechała dlatego między innymi, że

miała obywatelstwo amerykańskie. Po kilku latach, gdy ja już wyszłam za mąż, Marysia chciała mnie koniecznie do siebie ściągnąć, ale ja tak naprawdę nie chciałam jechać. Pisałam do siostry: "Maryś, mnie tu dobrze, otacza mnie cała rodzina, mam dobrego męża, nie chcę się z nim rozstawać nawet na krótko". Nie zobaczyłam już więcej mojej siostry. Zmarła osiem lat później z powodu choroby serca. Osierociła dwójkę malutkich dzieci. Była przy niej matka, która pospieszyła do Ameryki zaalarmowana złymi wiadomościami. Śmierć siostry złamała jej serce. Nie chciała tam już dłużej zostać. Wrócili razem z ojcem w 1938 roku do Nechrybki. Ale znowu tylko na krótko. Już w lutym Amerykanie wiedzieli, że będzie wojna i kazali wracać swym obywatelom lub zrzec się paszportu. Ojciec wyjechał jak najszybciej myśląc, że uda mu się ściągnąć nas do siebie.

Papiery dla nas przyszły jednak trochę za późno, tuż przed wybuchem 11 wojny. Nie zdążyliśmy wyjechać... I dlatego tego dnia, gdy zbudzili nas ze snu i kazali opuścić nasz dom w Nechrybce, byliśmy tam wszyscy prócz ojca, z którym na następne długie lata rozdzieliła nas kolejna wojna. Los chciał, że mieszkaliśmy w Nechrybce, a ona znalazła się po rosyjskiej stronie wpływów. Granica zaś była w Przemyślu. Z naszego domu w Nechrybce odstawiono nas i nasz nieszczęsny dobytek, który mieścił się na saniach, na stację kolejową w Przemyślu właśnie. Tam dopiero zobaczyliśmy, że taki sam los spotkał całą naszą kolonię i wszystkie inne z powiatu przemyskiego, które znajdowały się po "niewłaściwej" stronie granicy. Później dowiedzieliśmy się, że tej nocy Sowieci wygnali z domów w sumie dwa i pół miliona Polaków z ziem wschodnich. Wszyscy oni z rozkazów Stalina skazani zostali na zsyłkę.

Już sam początek był zapowiedzią strasznego koszmaru następnych dni, miesięcy i lat. I tylko nielicznym udało się go przetrwać. Wraz z innymi rodzinami spędzeni zostaliśmy do bydłowych wagonów, stojących na długości kilku kilometrów. Wepchano nas 36 osób (19 dorosłych i 17 dzieci) do tzw. szesnastki. Zamknięto od zewnątrz rygle i zasuwę. A my zastraszeni i zmarznięci znaleźliśmy się nagle w innym bezwzględny świecie. Odtąd za posłanie służyć nam miały zbite z gołych desek półki, na których nawet najciaśniej ułożeni nie mieściliśmy się wszyscy - siedem osób stałe stało lub siedziało na podłodze. Na środku wagonu stał mały żeliwny piecyk, który miał nas wybawić od śmierci z zimna, tym bardziej, że spaliliśmy na gołych deskach, a nasze poduszki i pierzyny załadowano osobno do wagonu towarowego.

Co kilka dni dostawaliśmy wiadro węgla, żeby palić w tym małym piecyku. Ja uprosiłam strażników, żeby pozwolili mi zabrać taki mały amerykański kuferek, a w nim trochę szmat i jakiś kocyk. Zasłoniliśmy nim otwór w dnie wagonu, który miał nam wszystkim służyć za toaletę i w ten sposób zaznaliśmy choć trochę mniej wstydu i upokorzenia. W tych zamkniętych wagonach staliśmy z płaczącymi z głodu i zimna dziećmi cały dzień i jeszcze noc całą.

Ofiara

W niedzielę rano mąż nie wytrzymał i uchylił siekierą od środka małe okienko, a ja przez szparę zobaczyłam chłopca, który niósł bułki do sklepu i przechodził przez tory koło naszego wagonu, który był ostatni w szeregu na samym przejściu. Niewiele myśląc zaczęłam wołać,

by dał trochę bułek dla dzieci. On podszedł bliżej i woła: "Otwórzcie, to wam podam". Ale my byliśmy zamknięci od zewnątrz i w żaden sposób nie mogliśmy otworzyć. Wtedy zwabiony krzykami nadbiegł strażnik. Usłyszeliśmy strzał, a ja przez szparę zobaczyłam kopnięty kosz i rozsypane po przejeździe bułki... Boże, jakież dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że sprowadziłam śmierć na tego biednego chłopca.

Ten strzał, ta ofiara to była najgorsza zapowiedź tego, co nas czeka.

Wagony ruszyły dopiero w niedzielę o północy. Zgrzyt kół zmieszał się ze strasznym ludzkim płaczem, głośną modlitwą i śpiewem "Serdeczna Matko, Opiekunko ludu, nie opuszczaj nas, nie opuszczaj". Serce pękało mi z bólu. Czy jeszcze kiedyś zobaczę mój kraj? Mój ukochany Przemyśl i piękną rzekę San, nad którą tak lubiłam chodzić, o której wieczorami układałam wiersze?

Pociąg zatrzymał się gdzieś koło Tarnopola. Zwabieni naszym wołaniem woźnice, popasający w pobliżu torów konie, wcisnęli nam przez szparę w deskach jakieś resztki chleba, którego nie dojedli. Było tego kilka kromek - po kęsku dla każdego z dzieci, które coraz bardziej słabły z głodu i pragnienia. A co będzie z moim nie narodzonym jeszcze? Piątego dnia na stacji w Kijowie dostaliśmy wiadro kaszy jęczmiennej z plewami, miało to starczyć dla wszystkich na kilka kolejnych dni. Wybłagaliśmy też wiadro śniegu, który po roztopieniu na piecyku dał litr wody czarnej od sadzy i tym obdzieliliśmy siedemnaścioro dzieci. Nie wypuszczono nas ani razu. Nasz świat to był ten bydlęcy nędzny wagon i szpary w deskach, którymi dostawały się światło i mróz. Tego samego piątego dnia strażnicy wyrzucili na stacji pod Kijowem pierwsze trupy. Z naszego wagonu sąsiada z wioski, Stanisława Krupę. Jego ośmioletnia córeczka niedługo potem umarła na tyfus w Gorodkach. Umierając wołała jeszcze do matki: "Mamuś, nie pozwól odejść, mamuś". W wagonie, gdzie jechali rodzice męża, zmarło dwuletnie dziecko z rodziny Majków. Matka zamroziła je, żeby nie rzucili go w śnieg i pochowała już później po przyjeździe. Tak więc Krupa nie doczekał tego momentu, kiedy na stacji w Kijowie dostaliśmy wiadro kaszy do jedzenia. Po pięciu kolejnych dniach rzucili nam dwa bochenki chleba i znowu wiadro śniegu. Chleb rozłamany na 35 kawałków miał starczyć na kilka dni do kolejnego wiadra kaszy. Ludzie słabli coraz bardziej, coraz mniej mówili, dzieci gorączkowały i majaczyły. Moja mała córeczka Jasia przelewała się przez ręce.

I tak nas wieźli ponad miesiąc. 34 długich dni i nocy. Wreszcie któregoś ranka pociąg zatrzymał się na stacji Ural-Neft. Ale jeszcze trzymali nas zamkniętych do późnej nocy. Gdy zapadła ciemność wypuścili nas i kazali zabierać swoje rzeczy z wagonu towarowego. W tym zamięcie i ciemnościach udało się nam odzyskać tylko część rzeczy. Znowu załadowali nas wszystkich na sanie zaprzężone w pojedyncze konie i wieźli nas tak - ludzkie cienie - całą noc i dzień w strasznym 42-stopniowym mrozie do miejsca przeznaczenia, obozu Chmielicha, rejon Wierchnoje Gorodki, obłast Mołotowskaja.

Darowane życie

Wtedy na saniach moja mała córeczka Jasia miała okropną gorączkę i była półprzytomna. Trzymałyśmy ją z matką na kolanach i modliłyśmy się, żeby Pan Bóg jej nam nie zabrał. Po wielu godzinach jazdy ścierpłam i zmarłam, strasznie bolały mnie plecy. Zaczęłam tracić

czucie w nogach. Mówię do mamy: "muszę rozprostować nogi , dłużej nie wytrzymam. Zeskoczę i pójdę chwilę koło sań". Wskoczyłam, a właściwie wytoczyłam się i w tym momencie zapadłam się w śnieg do piersi. To była wąska droga tylko na sanie a dalej śnieżny bezkres. Zaczęłam krzyczeć, prosić o ratunek, ale nikt mnie nie słyszał. Mijały mnie kolejne sanie, jadące jedne tuż za drugimi, a w nich półżywi ludzie. Minęły mnie ostatnie sanie. Boże, już tu zostanę na tym śnieżnym pustkowiu. Śnieg był tak ostry i twardy, że aż ranił. Już tu zostanę, nie dam rady się ruszyć, zamarznę. Zaczęłam się modlić czekając na śmierć. I wtedy drgnęło dziecko uwiecznione w moim brzuchu. Ono żyło jeszcze. Podjęłam walkę. Zaczęłam walić, deptać ten śnieg, ugniatać go, rozgarniać krwawiącymi rękami, aż zaczął topić się w tej walce, ustępować. Jakimś cudem wygramoliłam się z tej śnieżnej pułapki. Cała mokra w lodowej skorupie zaczęłam iść drogą, szlakiem tych sań, co już dawno odjechały, uwożąc moją półprzytomną córeczkę, matkę i męża. Co oni tam biedni przeżywają? Zaczęłam iść jak w transie kilometr za kilometrem. Szłam i modliłam się. Szłam. O brzasku coś zamajaczyło w oddali jakby wielkie kopuły śniegu. A przy mnie zjawił się na koniu wściekły komendant, krzycząc, że chciałam uciekać i że on nauczy mnie porządku. Przywiązał moje ręce sznurem do konia i tak doprowadził do miejsca postoju. Znowu zobaczyłam swoją rodzinę. To oni zaalarmowali strażników i błagali, żeby mnie szukać. Znaleźli mnie, gdy byłam niezbyt daleko od celu. Ja widocznie po prostu miałam żyć.

Do obozu Chmielicha dotarło 360 rodzin. Czekały tam na nas brudne, zapluskwione baraki, wąskie, żelazne .prycze, nieopisany brud, ciasnota. Gnieździiliśmy się po kilkanaście rodzin na jednej sali. Warunki wprost straszne. Błagałam o pomoc, o lekarza dla mojej płonącej z gorączki córki, ale lekarza oczywiście nie było, a komendant jeszcze tylko krzyczał, żebym dała spokój z tym dzieckiem. "Czego krzyczysz, czego płaczesz - mówili - Jedno odejdzie, będzie drugie". To chyba Matka Boska Nieustającej Pomocy, którą błagałyśmy razem z moją matką o pomoc, ocaliła mi to dziecko. Ale choroby, głód, zimno podkopały zdrowie mojej córeczki Jasi, a ich tragiczne skutki odczuwa do dziś. Po latach usunięto jej jedno płuco, cierpi na astmę i stale niedomaga.

Skazani na wymarcie

Następnego dnia jeszcze przed świtem wyгнаł nas z baraków wrzask komendanta. Zbiórka. Komendant wykrzykuje, że nie przyjechaliśmy tutaj, żeby się wylegiwać, tylko żeby pracować dla Rosji i na własne życie. "Teraz tu wasze życie i wasza śmierć - powiedział - Polski więcej nie zobaczycie". Na te słowa wystraszeni, głodni, trzęsący się z zimna, ledwie żywi ludzie zaczęli strasznie płakać. I wtedy ktoś zanucił pieśń do Matki Bożej. I nagle wszyscy, cała ta masa ludu podjęła tę pieśń - wołanie do Matki Bożej Opiekunki Ludu. Zagłuszyliśmy komendanta. Umilkł na chwilę zadziwiony dziwną siłą tej pieśni. To nasze pieśni i modlitwy, to nasza wiara dodawała nam siłę, aby przetrwać, by znieść rzeczy, które wydają się być nie do zniesienia. Ponadto gdzieś tam na dnie serca tliła się nadzieja, że ten koszmar kiedyś się skończy, że ktoś o nas pamięta, wyzwoli, oswobodzi i że wrócimy tam, skąd nas zabrano, gdzie nasze właściwe miejsce. Jednakże tylko nielicznym udało się przetrwać i powrócić do kraju.

Od rana do wieczora ludzie pracowali przy wycince lasu. Młodzi rąbali i ścinali drzewa, starsi czyścili je i układali w sęgi. Potem jeszcze zwózka w bardzo trudnych warunkach. Ciężka praca nawet dla silnych i zdrowych ludzi, a naszym ludziom sił co dnia ubywało. Trapiły ich różne choroby. Jedzenia było tak mało, że stale chodziliśmy głodni. Ludzie żuli nawet korzonki i korę z drzew, żeby tylko oszukać głód. Pamiętam, jak nieraz walczyłam z pokusą zjedzenia kawałka chleba, bo chciałam donieść do domu jego nie naruszoną porcję. Chleb dostawali tylko dorośli, ci, którzy pracowali. Skąpo wydzielany praśny chleb, kasza jęczmienna, czasem cienka polewka i ziemniaki od święta. To wszystko, co dostawaliśmy i to w bardzo niewielkich ilościach.

Myszę, że w tym pierwszym okresie od śmierci z wycieńczenia i głodu uratował naszą rodzinę wywieziony z domu, z Polski, garnek smalcu, worek zboża i ten mały drewniany młynek do kawy zabrany jakimś niezwykłym trafem, jakimś odruchem przeczucia. Jakiż był wytrzymały. Pracował całymi godzinami, głównie w nocy mieląc zboże, z którego piekliśmy potem placki. Pamiętam, że mdlały mi ręce od kręcenia tym młynkiem, ale każda porcyjka mąki była niezwykle cenna. Zboże to było jedzenie, nadzieja, to było życie. Za jeden dzień ciężkiej pracy można było zarobić siedem dekagramów zboża. Ci, którzy mieli kilkoro dzieci, nie mieli co im dać jeść, próbowali więc kraść zboże. Gdy kogoś przyłapano, szedł do więzienia na dziesięć lat. Podobny wyrok czekał tych, którzy nie stawili się do pracy. Z więzienia nikt nigdy nie wrócił.

Dzisiaj wydaje się to niemożliwe, ale my nie mieliśmy podstawowych, niezbędnych wydawałoby się rzeczy. Przez sześć lat obywaliśmy się bez pasty do zębów, proszku do prania i mydła nawet. Jedną jedyną kostkę mydła zdobyłam w drugim roku wygnania, już w kołchozie w zamian za kilogram suszonych grzybów. Popiół z pieca przelany wrzątkiem to było nasze czyszcidło, coś w rodzaju ługu do mycia, prania i zmywania zarazem. Zapomnieliśmy też jak smakuje mięso, masło, mleko, nawet cukier był zupełnie niedostępny - ani kosteczki przez te wszystkie lata. Już później, w kołchozie, dwa razy w roku z okazji ważnych państwowych świąt dostawaliśmy za dobrą pracę garść twardych cukierków. Gdy zdarły się nam przywiezione z Polski buty, nauczyliśmy się strugać buty z lipowego drewna. Latem chodziliśmy najczęściej boso, a w zimie okręcaliśmy nogi szmatami, czasem ktoś dostał walonki. A przemierzać trzeba było na piechotę duże odległości. Ja zrobiłam później dzieciom buty ze starego kozucha gospodyni, u której zamieszkaliśmy w kołchozie, a gdy mama dostała na premię za dobrą pracę trochę wełny owczej, uprzedłam ją, zrobiłam pończochy, skarpety i rękawice.

Powitania i pożegnania

Mój syn, Józek, przyszedł na świat w czerwcu, w oddalonej od świata małej, biednej izdebce porodowej, w obecności obojętnej na wszystko akuszerki. Żeby się tam dostać, musiałam przejść piętnaście kilometrów, a potem jeszcze przepłynąć tratwą (taka przeprawa zdarzała się kilka razy dziennie) na drugą stronę rzeki Cisowaja. Izbę porodową zastałam zamkniętą i niewiele brakowało, żebym urodziła samotnie pod drzwiami, bo akuszerka gdzieś się zapodziała. Zjawiła się dosłownie w ostatniej chwili. Narodziny mojego synka powitałam z wielką radością, ale i z lękiem. Tyle bym chciała mu dać, a tak niewiele mogłam mu

ofiarować. Właściwie nic, prócz bezgranicznej miłości. Józek był niemowlęciem niezwykle chudym i bardzo słabutkim.

Ot, taki pajaczek z długimi rączkami i nóżkami. Jak go odżywić, gdy moja dzienna racja na porodówce to kromka chleba i kubek wody. Lęk o życie tego dziecka towarzyszył mi przez najbliższe miesiące i lata. Gdy Józek miał osiem miesięcy, nie umiał jeszcze samodzielnie siedzieć, nie podnosił nawet główki ani rączki. Gdy ponad rok później zobaczyła go gospodyni, u której zamieszkaliśmy w kołchozie, powiedziała - Tyś mi "pokojnika" (nieboszczyka) przywiozła. - A ja jej stale mówiłam: - Nie bój się Olga, on nie umrze. Ja mu nie pozwolę umrzeć, nie pozwolę, słyszysz?

Józek kilka razy był bliski śmierci, ale cudem jakimś przeżył. Może to dzięki mojej miłości? Dwa miesiące po narodzinach Józka, 22 sierpnia 1940 roku zmarła na malarię i tyfus matka mojego męża. To była wspaniała i bardzo dzielna kobieta. Wychowała dziesięcioro dzieci - sześciu synów i cztery córki. Wszyscy bardzo ją kochaliśmy. Gdy umierała na żelaznej pryczy w pustej sali nędznego szpitala w Witlańsku, błagałam ją szeptem: - Mamus kochana, nie odchodź, nie zostawiaj nas w tym dalekim, nieludzkim świecie. Nie mogła już mówić, jedna, gruba łza stoczyła się po policzku. Spieczone usta poruszyły się bezgłośnie. Odeszła. A my obmyliśmy łzami jej twarz, wychudłe ciało i biedne spracowane ręce. Mamus najdroższa, wszystko co wycierpiałaś zabrałaś do mogiły. Synowie wykopali grób w lesie i tam pochowaliśmy najdroższą nam osobę. A ja znowu szeptałam nad grobem: - "Śpij Mateczko w tym leśnym grobie, może kiedyś Polska przyśni się Tobie"?

Prawie rok później zostaliśmy uwolnieni od milicji, komendanta i naczelnika. Pozwolono nam opuścić leśne baraki i szukać pracy gdzie indziej. My mieliśmy dwoje chorych dzieci, więc zdecydowaliśmy z mężem, żeby nigdzie daleko nie jechać, bo dzieci nie przeżyją podróży. Tak więc przenieśliśmy się z lasu do kołchozu im. Lenina w Kulikowie, o piętnaście kilometrów bliżej stacji Ural-Neft. Dostaliśmy izdebkę u samotnej, ułomnej gospodyni imieniem Olga, o której już wspomniałam, w zamian za pomoc w domu i gospodarstwie. Jak się później okazało, podjęliśmy dobrą decyzję. Z tych, którzy wyjechali szukać lepszego losu - a wyjechała większość - prawie nikt nie przeżył.

Wszędzie czaiła się śmierć. Mnóstwo ludzi, którzy z trudem dotarli do Taszkientu, zabrała epidemia tyfusu. Byli wśród nich dwaj bracia i dwie bratowe mojej matki. Pamiętam jak mama prosiła swojego ulubionego brata Tomka: "Tomciu, nie jedź, zostań wśród swoich. Tam nic dobrego Cię nie czeka". Ale on się uparł. Mówił, że przecież gorzej chyba już być nie może, że musi szukać lepszego losu dla swojego jedyne go późno narodzonego jedenastoletniego synka. Wędrowali dwa miesiące nie mogąc nigdzie znaleźć miejsca. 14 kwietnia wuj Tomek już nie żył. Zabił go - jak tylu innych - tyfus. Śmierć przyszła w nocy, tak więc gdy jego syn się obudził, zobaczył martwego ojca. Obok leżała nieprzytomna, nie reagująca na wołania matka. Przerażony, oszalały wręcz, chłopiec porwał więc jakiegoś łacha matki i uciekł.

Uciekał od śmierci, uciekał przed śmiercią. Biegał tak długo, aż stracił zupełnie siły i zemdłał. Leżącego bez ducha, nędznego, obdartego chłopca zauważył z jeepa przejeżdżający tamtędy dziwnym trafem gen. Sikorski. Gdy on i jego towarzysze ocucili i nakarmili chłopca, zabrali

go ze sobą i przekazali do kuchni do sztabu gen. Andersa. Zaopiekowano się nim, a potem przewieziono do Anglii. Chodził tam do szkół, służył w marynarce, ale przez te lata nie dawała mu spokoju myśl o tym, że matka jeszcze żyła, kiedy on uciekał w popłochu od śmierci. Szukał jej więc przez całe lata przez Czerwony Krzyż. Wreszcie odnalazł jej ślad w Iraku. Ruszył, by ją odszukać. I wtedy koszmar losu dosięgnął go powtórnie. Spóźnił się dosłownie o jeden dzień. Matka zmarła bowiem w przeddzień jego przyjazdu. Wszystko to opowiedział mi po latach, gdy odwiedziliśmy go w Anglii.

Podobnie jak wuj Tomasz zakończył życie jeszcze jeden brat mojej matki, który przed wojną mieszkał w Zimnej Wodzie koło Lwowa. Wywieźli go wraz z żoną i dwójką dzieci do Krasnojarskiego Kraju. I tam właśnie zabiło ich zimno, głód i choroby. Rodzina męża, jego ojciec, bracia i siostry też próbowali szczęścia i ruszyli w drogę. Ale dotarli tylko do Koniecrodu i musieli wracać, bo ojciec, który cierpiał na astmę, dusił się dosłownie i był tak słaby, że nie mogli już jechać dalej. Po pewnym czasie wrócili do nas, do kołchozu w Kulikowie.

Silna za troje

W kołchozie im. Lenina w Kulikowie było nam dużo lepiej niż w lesie. Nie cierpieliśmy już takiego zimna i głodu. Prawie zawsze mieliśmy pod dostatkiem ziemniaków, marchwi i mąki na chleb. Na to wszystko trzeba było oczywiście pracować i to bardzo ciężko. Ja pracowałam najpierw w wielkim ogrodzie warzywnym. Moim głównym zadaniem było noszenie wody z odległego źródła do podlewania upraw. Na dzienną normę trzeba było wnieść na górę, na której mieścił się ogród, sto wiader wody. Męża zatrudniono przy naprawie kołchozowych maszyn - wiecznie psujących się traktorów i innego sprzętu. Był świetnym mechanikiem i potrafił uruchomić maszyny, które już dawno uznano za stracone. Cenili za to męża, nazywali go "zołotyje ruki" i w nagrodę dali mu nawet pszczele ule. Odtąd mieliśmy już swój miód i czuliśmy się prawie bogaci.

W kołchozie narodził się nasz drugi synek Zbysiu. Na szczęście był o wiele mocniejszy od Józia, który jako oserek i niemowlę przeżył z nami najgorsze chwile. Choć dalej żyliśmy w prymitywie i mieliśmy tak niewiele, Zbysiu chował się dość dobrze. Przez większą część dnia dziećmi i dobytkiem naszej gospodyni Olgi zajmowała się nasza Mama, której dzielności nie sposób opisać.

W maju 1943 roku w naszym życiu nastąpiła ogromna zmiana. Mój mąż, jego brat i dwie siostry powołani zostali do Armii Kościuszkowskiej i poszli na wojnę. Zostałyśmy same z matką i dziećmi, targane lękiem o najbliższych, o naszą przyszłość, o to czy starczy chleba. Trzeba było zastąpić naszych mężczyzn w polu; zboże musi być zżęte. Żniwa 1944 roku pamiętam bardzo dobrze. W kołchozie obiecano nam za każdy hektar zboża pół metra pszenicy. Postanowiłam, że zdobędę tego zboża jak najwięcej. To przecież oznaczało chleb do syta dla nas wszystkich. Taka byłam chytra na to zboże, że sama jedna wyżęłam sierpem dziesięć hektarów pszenicy. Chwilami myślałam, że mi plecy, ręce i kości popękają z bólu, że nie wytrzymam, że rano nie wstanę i nie pójde więcej. I tak co dnia. A jednak szłam zaciskając zęby. Musiałam być silna za obecnych i nieobecnych.

Okazało się później, że ja wyżełam za dużo tej pszenicy, o wiele więcej niż inni, a to oznaczało, że powinnam dostać pięć metrów ziarna. O wiele za dużo niż przewidywały normy i władze. Zmniejszono mi więc urobek o połowę, ale na pociechę dołożono czterdzieści kg żyta. Zaraz po tych zniwach przyszła okropna wiadomość: w pierwszych walkach pod Lenino 24 października 1943 roku została zabita najmłodsza siostra męża, dwudziestoletnia wówczas Kasia. Była najmilszą istotą, jaką znałam. Pozostali walczyli dalej. A nam było jeszcze trudniej i ciężiej żyć. Nasze myśli i obawy ciągle były przy nich. Całymi godzinami modliłam się do Boga, aby ocalił mi męża i ojca moim dzieciom.

W niecały rok później, 18 sierpnia 1944 r. pożegnałyśmy ojca mojego męża, który schorowany i stary został w kołchozie przy kobietach i dzieciach. Za buty ojca udało mi się zdobyć trochę starych desek i zbić coś w rodzaju trumny. We dwie z drugą synową wykopałyśmy grób i z bólem serca pochowały ojca. I tak zostałyśmy zupełnie same, kobiety i dzieci w tym dalekim, nieludzkim świecie.

Koszmar wraca

Wkrótce po śmierci ojca przyszła wiadomość, że jako rodzina wojskowa zostaniemy przeniesieni gdzie indziej, bliżej kraju. Stało się tak dlatego, że mąż w armii przysłużył się dowódcy i uprosił go, żeby rodzina mogła powrócić do Polski. Nie wiedział mój biedny mąż, jaki los nam gotuje. Najpierw ściągnięto nas na dworzec kolejowy w Łyszwie. Przez tydzień oczekiwaliśmy na pociąg, który nie nadjeżdżał, śpiąc dosłownie na peronie, otuleni kocami. Wreszcie wpakowano nas z dziećmi do bydłowych wagonów i wieziono całe dwa tygodnie aż na Ukrainę. Siedzieliśmy na tobołkach, spaliśmy na nich i tak bez końca. Nikt nie pomyślał o jedzeniu dla nas. Uratowała nas zabrana z kołchozu mąka. Mieszaliśmy ją z wodą i jedli taką papkę. Wreszcie wysadzili nas na stacji Biały Kołodziec, rejon Wołtańska, obłast Charków. Przydzielono nas do sowchozu Profirtern, w którym było aż 90 ha ziemi. Naszym "domem" miał być przez rok prawie koński barak, gdzie nie było dosłownie nic, nawet pryczy, a smród wżartego w ziemię moczu końskiego był tak silny, że piekł w oczy i nie dawał oddychać. Poczułam się załamana i nieszczęśliwa. Jak żyć z dziećmi w takich warunkach, na klepisku, na gołej ziemi. Wkrótce nadeszła zima, a z nią dojmujące zimno. Spaliśmy na gołej ziemi na słomie. Siedzieliśmy na słomie, paliliśmy plewy i słomę, żeby się choć trochę ogrzać. Ta słoma i plewyto była jedyna korzyść mojej całodziennej pracy przy młócce zboża. Dostawaliśmy jeden posiłek dziennie, chyba gorzej niż zwierzęta. Była to kasza z ziemniakami w łupinach. Próbowaliśmy się ratować kradnąc z pola pozostawione tam dynie. Nawet małe Zbysiu szukał tych dyni w polu i nie dał sobie odebrać. Kilka razy w ciągu roku dostaliśmy proszek jajeczny z utworzonego już wtedy w Charkowie poselstwa polskiego. Ale po puszkę proszku trzeba było iść 60 km. Był to jednak znak, że ktoś jeszcze o nas pamięta.

Powrót

W sierpniu 1945 roku, gdy już całkiem traciliśmy nadzieję na zmianę losu, przyszło wreszcie wezwanie, by stawić się natychmiast do Wojskomatu, do Wołtańska. Gdy dotarliśmy z siostrą męża do garnizonu do Wołtańska, komendanta nie było, bo wyjechał do pożaru.

Trzeba więc było czekać do następnego dnia. Tę noc spędziłyśmy siedząc na przemian na jednym krzeselku w drewnianej stróżówce. Następnego dnia komendant dał nam jakiś papier i kazał jechać z nim do Charkowa po dokumenty. Gdy dotarliśmy do Charkowa (częściowo na piechotę, częściowo na wozie ze świniami), poselstwo było już zamknięte. Na szczęście nakarmiła nas i przygarnęła do siebie pani Sokorska. Noc spędziłyśmy u niej w kuchni. Rano okazało się, że dokumenty dla mojej mamy został omyłkowo wystawione na nazwisko Kołodziej, a ona nazywała się Dudziak Aniela. Tak więc mama nie mogła wyjechać razem z nami. Kolejny problem stanowiło kupno biletów powrotnych do kraju. To był czas wielkich powrotów z całej Rosji, a pociągi kursowały niezmiernie rzadko i nigdy nie było pewne, czy przyjadą. Bilety załatwił nam wreszcie Żyd Wolf, poznany u pani Sokorskiej w Charkowie. I tak 28 września 1945 roku wyruszyliśmy do Polski. W pociągu z Charkowa do Lwowa panował tak straszny tłok, że o mało nas nie uduszono. Cały czas stojąc musiałam trzymać Zbysia na rękach, bo inaczej chyba by go stratowano. Ta podróż była równie koszmarne jak pobyt na Ukrainie, którą zapamiętałam jako krainę równin, wichrów, zimna i głodu.

We Lwowie kazano nam udać się do siedziby Czerwonego Krzyża, który zorganizował nam powrót do kraju. Następnego dnia o trzeciej rano znaleźliśmy się w Przemyślu. Nikt na nas nie czekał, nikt nas nie witał nędznych Sybiraków, ale i tak moje serce przepełniała wielka radość. Wróciłam z dziećmi do mojej ukochanej ziemi, do Polski. Mama wróciła dwa miesiące później jako matka Żyda Wolfa. Nie mieliśmy już naszego domu, ale mieliśmy nasz kraj, w którym zaczęliśmy z wolna budować z mężem nowe życie.

Płyną dni i lata, zblizniły się już rany, pozostały wspomnienia, choć wyblakłe, bolą jeszcze czasem. Może trzeba je uchronić od zapomnienia? Pamięć tych lat jest we mnie.